

# Zagubione marzenia

■ Alek Rachwald ■

Zasiadłem sobie raz w fotelu i z ciekawości zacząłem liczyć, ile zarabialiśmy w latach, powiedzmy 80. I ile wtedy kosztował sprzęt hi-fi, o którym marzyliśmy. Znalazłem informację, że w 1985 roku przeciętna pensja wynosiła około 20000 zł. Nie wiadomo, brutto czy netto, ale ponieważ wtedy nie liczone w ten sposób, to założmy, że na rękę. Teraz jest to jakieś trzy tysiące.

**P**rzyjrzyjmy się teraz cenom sprzętu hi-fi w tamtym okresie. Mówię tu, oczywiście, o sprzęcie klasy, którą dziś określono by jako popularną, bo marek hi-endowych wtedy w Polsce nie sprzedawano.

Wyglądało to następująco: najprostszy amplituner do miniwieży typu 8080 – cena ponad 30 tysięcy, czyli półtorej pensji; nieco lepszy amplituner Tosca kosztował już jakieś 40 tysięcy, a duża wieża: 90-120 tysięcy, czyli co najmniej pięć pensji, z czego zwykle połowa to koszt magnetofonu. A jeszcze do tego trzeba doliczyć kolumny, trudne do zdobycia i też drogie. No i gramofon. Odtwarzaczy CD poza Peweksem wtedy nie było, więc je pominę.

Wychodząc na chwilę poza branżę hi-fi – kolorowe telewizory były jeszcze droższe. Najtańsze kosztowały po jakieś 100 tysięcy (sowiecki Elektron czy Rubin), zaś polski Jowisz albo odbiorniki JVC lub Sony z Peweksu – sporo więcej.

Generalnie, słuchanie muzyki w przyzwoitej jakości było, jak na nasze obecne kryteria, monstrualnie drogie, choć może nie robiło to takiego wrażenia, bo drogie było wszystko i to nie tylko sprzęty trwałe, jak duży fiat, ale i żywność. Relatywny koszt (w stosunku do zarobków) przeciętnego zestawu hi-fi klasy „europejskiej niższej” był mniej więcej taki, jak dzisiaj koszt sprzętu dla „wariatów-audiofilów”, czyli kilka średnich pensji za podstawowy system grający, z tym, że jeszcze trzeba było ten sprzęt „wystać” lub „upolować”. Dzisiaj te pięć średnich pensji to 15-20 tysięcy złotych i jeśli ktoś ma w domu system za taką ilość pieniędzy, to wśród mugoli uchodzi za konesera pełną gębą. Cmoka się nad nim i robi ajwaj albo puka się w głowę. Natomiast wtedy w zasadzie nie dało się taniej, a znośnej jakości kolorowe pudło

podwajało stawkę, co dziś wydaje się zupełnie fantastyką.

Telewizor kolorowy droższy niż 1000-1500 złotych, i to w dodatku nie do kupienia od ręki w sklepie, ale raczej za łapówkę? Normalny człowiek bez słoniowej pamięci uzna to dziś za koncept prosto z filmu o czasach Hitlera... Nawet sobie nie zdajemy sprawy, jak bardzo się zmieniło nasze środowisko. Audiofile i wideofile dzisiejsi żyją w czasach obfitości, mało zdając sobie z tego sprawę.

Lata 80. to był okres moich studiów i pamiętam, że ambicją każdego z kolegów było mieć w domu jakiś system hi-fi, przynajmniej miniwieżę, co wtedy oznaczało zwykle segmenty z serii 8080, klepane z litego metalu i ciężkie jak worek cementu, bo rodzime aluminium było tańsze od kapitalistycznego plastiku. Tak to ubóstwo sprzyjało solidności, bo taką miniwieżę można było zabić. Wydawaliśmy zaoszczędzone grosze lub wyciągniętą od rodziców krwawicę, żeby nasze kasety z Leonardem Cohenem wreszcie zabrzmiały przyzwoicie. Sam pamiętam, że magnetofon kasetowy kupiłem dopiero wtedy, gdy dostałem jakiś spadek. Na pudle od niego była pieczętka „seria technologiczna” i czasem się zacinał, ale kiedy nagrałem na nim „Apokalipsę zwierząt” Vangelisa (na peweksowskiej kasecie TDK A-60), to efekt był niebiański.

Czyli wyglądało to tak: gramofon Foniki, kupiony jakoś niedługo przed urodzeniem mojego dziecka za oszczędności, wzmacniacz Fonica 9013 z tunerem Unitra Eltra z tej samej serii, kupione gdzieś okazyjnie w sklepie GS (Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska – niektóre towary z niejasnych powodów łatwiej było wtedy kupić na wsi), kolumny ZG-15, które wcześniej grały ze starym radiem Amator, no i kupiony za spadkowe magnetofon.

System audiofilski na miarę końcówki lat 80. Czy czułem się w związku z tym posiadaczem czegoś wyjątkowego? Nie do końca, bo paru moich kolegów z wysiłkiem skompletowało podobne zestawy, a bardzo nieliczni mieli też magnetofony kupione w Peweksie. Taki magnetofon kosztował około 300 dolarów, a więc jakieś 10 pensji absolwenta studiów. Toteż pozwolić sobie na nie mogli potomkowie rodów zamożnych, co w latach 80. oznaczało głównie marynarzy oraz sadowników.

A jednak mogę powiedzieć, że te wypasione audiofilskie systemy miało znacznie więcej moich ówczesnych ubogich jak myszy kościelne znajomych, niż moich kolegów w średnim wieku dzisiaj. Termin „audiofil” nie był wówczas nawet znany, a mimo to ludzie mieli sprzęt i słuchali. Dzisiaj znam bliżej kilka osób, które mają w domu odpowiednik takiej dużej wieży z czasów średniego Jaruzela, ale oni są albo dziennikarzami (czyli ludźmi zawodowo związanymi z tą branżą) albo osobami naprawdę mającymi. Wygląda na to, że coś się pozmieniało. Czy może chodzi o to, że nie mieliśmy wtedy samochodów? W końcu wówczas sprzęt hi-fi był wydatkiem strasznym i czymś trudnym do zdobycia, ale samochód jeszcze bardziej. Pamiętam plotkę, jakoby przez ludzi zorientowanych można było gdzieś nabyć tanio (czyli za równowartość rocznych zarobków) trochę tylko uszkodzone VW Golfy z partii odrzuconej przez niemiecką kontrolę jakości, które przecież łatwo da się naprawić. I ludzie wierzyli w coś takiego, bo przybliżało ich to do marzeń o własnym prawdziwym samochodzie. Czy dzisiaj, gdy studenci jeżdżą kupionymi za jedną średnią pensję wyremontowanymi gruchotami, ktoś w ogóle uwierzyłby w takie marzenia?

Żyjemy w świecie spełnionych marzeń z lat 80. Może dlatego prawdziwe hi-fi nie jest już przedmiotem pożądania, tylko czymś codziennym, co może wcale nie jest potrzebne do życia. Może mniej ludzi słucha Cohena... Ciekaw jestem, kiedy zacząną się spełniać nasze marzenia z dzisiaj. Czy też za 30 lat? I czy wtedy jeszcze będą się nam wydawać godne pożądania?